

Zdrój

Zdrój był podobny do oka. Błękitnego, w obramowaniu rzęs - zielonej trawy. I źrenica - plama czarnego, gruboziarnistego piasku na dnie, tam, gdzie woda przebijała się z wnętrza ziemi.

Igor zatrzymał się i otarł pot z czoła. Przeklęty zdrój, już sprzykrzyło się codzienne wiosłowanie półtora kilometra w górę cieku, by przywieźć trzy wiadra wody. Ale Ewka i Krystyna kategorycznie odmówiły gotowania herbaty i uchy na wodzie rzecznej, dawaj im tylko tę!

Pocieszające jest to, że z powrotem można prawie nie używać wiosł, Doniec w tym miejscu jest wystarczająco bystry i sam doniesie do obozowiska. Trening także niezły - mięśnie rąk i brzucha po wiosłowaniu przyjemnie twardniały. Diabli z nim, ze zdrojem, za to łowienie ryb, ognisko i gwiazdne niebo nad rzeką! Dwa tygodnie z dala od cuchnącego spalinami i odrażającą chemią miasta.

Zaczerpnął wielkim, plastikowym wiadrem wodę, piasek na dnie podskoczył do góry, ale natychmiast osiadł. Napelniwszy wiadra, odniósł je do łodzi i postawił na rufie. Podstawowe zadanie zostało wykonane, pozostał drobiazg. Zdjął przepoconą podkoszulkę i rzucił na siedzenie, poprawiając dyndający na szyi krzyż. Potem, poklepując się po porośniętej czarnymi, kręconymi włosami piersi, wydał gardłowy zew tarzana. Życie jest wspaniałe i nic tego nie zmieni!

Z tyłu dobiegł delikatny szmer – na pewno śmiertelnie przestraszył jakieś zwierzątko.

Chylące się ku zachodowi słońce przypiekało plecy, ale Żeka nie obawiała się oparzenia - była smagła niczym głownia, kędzierzawa i z tego powodu w szkole przyłgnęło do niej przezwisko Murzynka. Ale nie obrażała się – jak Murzynka, to niech będzie Murzynka.

Siedząc na grubym pniu powalonego w poprzek rzeki drzewa, dziewczynka zapamiętale łowiła ryby. Wędka z bambusa zaciśnięta w ręce, splotek kręci się nad niedużym wirkiem, co raz znikając w zielonkawej głębi. O, znów dziobnęło. Poderwała wędzisko i niedużą rybkę, migocząc srebrem, zachwiała się na żyłce. Teraz trzeba ją złapać, wyjąć haczyk i wrzucić zdobycz do siatki - stokrotnie sprawdzone ruchy. Ale cienka, opalona ręka zastygła, a drżące rybce ciało nadal lekko kołysało się w półmetrowej odległości. Zmarszczyła czoło i ostrożnie położyła wędzisko na gałęzi pnia. Rybka znów znalazła się w wodzie i miotając się próbowała oswobodzić z haczyka.

Kanciasta figurka, w błękitnym stroju kąpielowym i śmiesznym słomianym kapelusiku, poderwała się i, rozczapierzywszy ręce, szybko ruszyła po pniu.

„Dziewczynka na kuli”, „Picasso” - pomyślał rosty chłopak, opalający się przy stojącym na brzegu namiocie. Jakaż ona rozkoszna... Mała, ale okropnie samodzielna siostrzyczka. „Ciekawe, gdzie się wybiera?”

Zaniepokojony wstał, gdyby co, gotowy skoczyć na pomoc. Gdyby co? Żeka pływa nie gorzej od niego, Doniec w obie strony trzy razy przepłynię i nie zasapie się. Gdyby nawet wpadła do wody, to co z tego, tylko trochę pisku i śmiechu. Znowu usiadł na nadmuchiwanym materacu, złożonym w formie fotela, ale oczy nie przestawały obserwować dziewczynkę. Dotarła do tego miejsca, gdzie pień zanurza się w wodzie i zamarła.

W tym momencie, spoza wierzb rosnących na brzegu ukazało się to, co Żeka zauważyła wcześniej, niż on. Łódź. Płynęła prawie dokładnie środkiem rzeki, niesiona prądem. Wioślarza nie było widać, wiosła chwiały się w dulkach.

„Coś podobnego, ktoś nie upilnował łajby”, zdążył jeszcze pomyśleć i w tym momencie rozległ się rozpaczliwy, przenikliwy krzyk.

- Mamom!!!

I tuż po nim:

- Romku!!!

Pędził do brzegu nie spuszczając z oczu skulonej na pniu delikatnej figurki. Żeka zamarła, objąwszy głowę rękoma, wciąż krzyczała.

Zazwyczaj powolny i wywarzający każdy ruch, przebiegł błyskawicznie po pniu.

- Żeka! Cicho, cicho...

Chwycił w objęcia, przytulił, jak robił to zazwyczaj, kiedy nocą śniły się jej koszmary.

- Co się stało, malutka?

Smagła ręka, bezsilnym machnięciem wskazała, co. I wtedy, też to zobaczył.

Nieboszczyk leżał w łodzi. Opierał się plecami o siedzenie na rufie, a odrzucona do tyłu głowa lekko kołysała się nad wiadrem z wodą. Do wody kapiała krew z poderżniętego gardła, dlatego była ona czerwona i przelewała się przez brzegi w takt chybotania łodzi. Szeroko otwarte oczy, bez wyrazu, patrzyły w niebo.

Łódź przywiązali długim sznurem do najbliższego drzewa, nie próbując wyciągać jej na brzeg.

- Masz ci los... - beznadziejnie machnął ręką wysoki chudy brunet. – Ładnie odpoczęliśmy.

Obejrzawszy się, czy nie ma w pobliżu kobiet i dzieci, dał upust frustracji długim przekleństwem.

Roman przygładził mokre włosy i poszedł do swego namiotu. Tam, Żeka, którą mama już zdążyła napoić wstrętne pachnącymi kroplami, leżała, posępnie wpatrując się w granatowy, nylonowy sufit.

Kiedy odsunął przesłonę, dziewczynka niespodziewanie spokojnie zapytała:

- To był Igor?

- Igor.

Westchnął i wzruszył ramionami.

- Siergiej już wezwał milicję. Czeka ją.

Irena, która siedziała koło córki, zrobiła niepewny ruch, jakby zamierzała wstać, ale Roman zagroził wyjście z namiotu.

- Siedź tu, nie powinnaś na to patrzeć. Wystarczy, że widziała Żeka.

- Tata dzwonił? - cicho zapytała kobieta.

- Ja dzwoniłem do niego. Powiedział, że jedzie do nas. Kazał was pilnować.

- A gdzie Ewa i Kryśka? - Żeka usiadła, podciągnęła kolana pod brodę i pogłaskała matkę po głowie.

- Cyryl ich trzyma w namiocie. Ryczą w niebogłosość. Tylko ty się nie przyłącz do nich, proszę.

- Nie będę - szybko odpowiedziała Żeka. – Nie martw się o mnie, po prostu przestraszyłam się. Myślę, czemu to wujek Igor w łodzi się rozłożył? Śpi, czy co? I do brzegu nie skręca, jakby zamierzał przepłynąć obok. A potem zobaczyłam... Nieźle się darłam, co?

- O tak, jak trąba jerychońska - uśmiechnął się, ale nadal poważne oczy uważnie wpatrywały się w twarz siostry. Mała trzyma się nieźle, ale co będzie nocą?

Irena wyciągnęła z jasnych, długich włosów spinkę i położyła się na łóżko. Wzięła książkę, ale tylko ją trzymała, nie czytając.

Szkoda, że nie posłuchała, kiedy Sławek zaproponował zmienić miejsce postoju. Trzeci rok spędzają tu urlop i nawet, jeśli mężowi nie podobają się sąsiedzi, to nie powód, by przenosić się gdzie indziej. W końcu, w nowym miejscu też może zjawić się kto chce i nie jest powiedziane, że będzie tam wygodnie i przytulnie. Przytulnie. No i skończyła się przytulność. Więcej tu nie przyjadą za nic w świecie. Wsunęła książkę pod poduszkę i zamknęła oczy.

A było tak wspaniale, póki nie zjawili się tu Łosiewy i ich przyjaciele. Żona Igora, Ewa, jeszcze niczego sobie, nawet miła kobieta, bez szczególnych ambicji. Krystyna, też dziewczynka jak dziewczynka, ale za to Igor, Siergiej, a zwłaszcza Cyryl... Irena nie lubiła chłopów, którzy każdą spódnicę oceniają tylko w charakterze trofeum, a ci byli właśnie z takiej rasy - piwo, raki, baby... Nawet próbowała porozmawiać z Ewą o tym, ale ta tylko wzruszyła ramionami: Ale, czy inni inaczej się zachowują?

I masz ci los, Igor nie żyje. Zamordowany, bez najmniejszych wątpliwości, chociaż o tym, jak wyglądał nieboszczyk w łodzi, wiedziała tylko ze słów córki. Biedna Żeka...

Milicjanci przyплыли kutrem dopiero po godzinie. Kutrem, ponieważ jazda samochodem zajęłaby znacznie więcej czasu - trzeba było jechać przez las. Dlatego, do celów operacyjnych trzeba było wykorzystać sprzęt pływacki ratowników.

Kuter wbił się dziobem w brzeg około dwudziestu metrów od przywiązanej łodzi z nieboszczykiem. Pierwszy, stękając, wylazł grubas w wieku przedemerytalnym, za nim młody, ponury kapitan milicji i zwinny okularnik z medycznym sakwożadem. Jako ostatni, przebiegając po dziobie, zeskoczył na piasek subiekt podobny do francuskiego komika Luisa de Funèsa, rzeczoznawca.

Kapitan, bez słowa, chwycił za sznur i przyciągnął łódź. Patrząc na chlupoczący w wiadrze czerwony płyn, na oblepiające gardło zabitego duże, czarne muchy, krzywił się tak, jakby bolał go ząb. Prawdę mówiąc, ząb rzeczywiście bolał i najwłaściwszym miejscem dla kapitana byłby teraz fotel dentysty, a nie wożenie się z tym widowiskowo rozwalonym na dnie drewnianej łodzi martwym typem i przepytywanie przygnębionych i wyraźnie denerwujących się turystów.

Kapitan nazywał się Wadim Tajuszew.

Póki lekarz i rzeczoznawca krzatali się przy częściowo wyciągniętej z wody łodzi, Tajuszew przyglądał się obecnym. Trzech mężczyzn w średnim wieku i około osiemnastoletni chłopak. Wysoki, wysportowany i silny. Trzeba zacząć od niego.

Zbliżał się wieczór, nieboszczyka załadowali na kuter i wywieźli, rzeczoznawca kończył oględziny łodzi, a kapitan i grubas, który przedstawił się jako śledczy prokuratury Kuźmienko, nadal prowadzili dochodzenie. Tajuszew ulokował się przy składanym, plastikowym stoliku i starannie wszystko notował. Grubas, korzystał z dyktafonu.

Roman Sajenko spodobał się kapitanowi - mądry, rozsądny chłopak. Na pytania odpowiadał spokojnie, okazał zdenerwowanie tylko raz, kiedy opowiadał, jak przestraszyła się jego siostrzyczka, widząc płynącego w łodzi trupa. Ale natychmiast

wyjaśnił swoją reakcję - dziewczynka wrażliwa, jej i tak często nocami śnią się koszmary, a tu, takie widowisko. Nie dla dziecka, delikatnie mówiąc.

- Zrozumiałem, że jeśli nie przechwycę go, to prąd uniesie łódź aż do pola kempingowego - opowiadał Roman. - Dlatego kazałem Zece biec do matki, a sam skoczyłem do wody. Do łodzi nie włożyłem, do dzioba jest przywiązany sznur, chwyciłem go i tak ciągnąłem.

- Od dawna znałeś Łosiewych?

- Mniej więcej od tygodnia. Tak, przyjechali w zeszły poniedziałek. Niezbyt przyjemnie, kiedy obok pojawiają się obcy, ale przecież teren ogólny, więc i zabronić nikomu nie można, jeśli zechce postawić namiot.

- Co możesz powiedzieć o swoich sąsiadach? - Tajuszew badawczo spojrzął na chłopaka.

- Ten Igor... Ogólnie mówiąc, zwyczajny chłop, pracuje w jakiejś firmie, ale w jakiej, nie wnikałem. Żyją w Charkowie. Żona, córka - też zwyczajni. Samochód mają dobry, jeepa. Trochę dziwne, że zdecydowali się odpoczywać nad Dońcem, bo sądząc po wszystkim, pieniądze nie stanowiły dla nich problemu i mogli wybrać lepsze miejsce. Ale o gustach się nie dyskutuje. Potem przyjechali jego przyjaciele - Siergiej Pietrowicz i Cyryl z żoną. Zdaje się, że miała na imię Nastia. Ale ona po jednym dniu wyjechała - pokłóciła się o coś z mężem i Igor odwiózł ją na stację. Nieprzyjemnie było słuchać, kiedy się kłócili.

- A o co była ta kłótnia?

- Nie wiem. Ale, wydawało mi się, że Nastia była zazdrosna o męża. Obraziła się i wyjechała.

Tajuszew jeszcze raz obejrzał biwak. W tym miejscu las cofał się od brzegu półkolem, tworząc dość szeroką polanę. Na niej, z jednej strony stał wielki, granatowy namiot, w którym mieszkali Sajenkowie. Przed nim ciemniał kamienny krąg na ognisko, z metalową konstrukcją do zawieszenia kociołka i kratą-grillem. Pod poliestrową, czworokątną markizą - drewniane, wkopane w ziemię ławy i stół, przy którym teraz siedzieli Kuźmienko i pulchna kobieta w sukience na ramiączkach - żona, a teraz już wdowa zabitego Igora Łosiewa. Niedaleko poniewierały się trzy nadmuchiwane materace, stał rozłożony leżak. Pod drzewami samochód - granatowa „Łada Samara”.

Druga strona wyglądała na mniej zagospodarowaną. Trzy namioty, z których dwa były małe, plastikowy stół i krzesła, przenośny grill i ognisko z drewnianymi widelkami i poprzeczką, na której wisił okopcony, aluminiowy czajnik. I trzy samochody - wielki, czarny jeep „Toyota”, czerwone, błyszczące „Volvo” i podniszczony „Mercedes”. Interesujące zestawienie...

- Mogę już iść? - wyprowadził kapitana z zadumy Roman. - Muszę sprawdzić, jak się czuje Żeka.

- Tak, jeśli doszła do siebie, to chciałbym z nią porozmawiać - zgodził się Tajuszew.

- Ale nie ma pośpiechu - tylko, jeśli rzeczywiście uspokoiła się. A tymczasem, zawołaj ojca.

- Dobrze - chłopak prawie biegiem rzucił się do swojego namiotu.

Ojciec Romana, Stanisław Sajenko, z wyglądu miał około czterdziestu lat. Wysoki i barczysty, z pod nachmurzonych brwi patrzyły czujnie szare oczy. Na zaproponowany uścisk dłoni odpowiedział bez namysłu - dłoń miał suchą i chłodną. Kapitan uśmiechnął się pod wąsem - pierwszy test przeszedł znakomicie.

Starszy Sajenko opowiadał mniej więcej to samo, co i jego syn. Ale wyczuwało się, że do nieproszonych sąsiadów odnosi się z dużym dystansem. I nie ukrywa tego.

- Był pan na brzegu, kiedy córka zobaczyła trupa? – Tajuszew zadał standartowe pytanie.

- Nie, akurat byłem w mieście. Mamy tam niedużą filię i z konieczności łączę urlop ze sprawami zawodowymi – testujemy linię technologiczną. Tak, że codziennie wpadam tam na dwie-trzy godziny - sprawdzam, jak przebiegają próby.

- I jak?

- Co jak?

- No, jak przebiegają?

- A... Odchylenia w granicach normy, ustawiacze starają się jak mogą.

- To znaczy, że w momencie morderstwa znajdował się pan w waszej filii?

- To zależy, kiedy wydarzyło się morderstwo - ostrożnie odpowiedział Sajenko. - Zresztą, od godziny jedenastej, do momentu, kiedy do mnie zadzwonił syn i zakomunikował, co tu się zdarzyło, cały czas ktoś był ze mną. Możecie sprawdzić.

- Sprawdzimy. Proszę podać, kto był z panem?

- Jewgienij Szarych, główny inżynier – po namyśle, odpowiedział Stanisław. - W południe, pojechaliśmy z nim na obiad do restauracji. Byliśmy tam, kiedy Romek zadzwonił. Godzinę można sprawdzić w komórce syna.

- Myśleliście o tym, dlaczego denat znalazł się w łodzi, płynącej koło waszego obozowiska? - zmienił temat kapitan.

- Przecież płynął od źródła - natychmiast odpowiedział Sajenko. - Każdego dnia tam pływamy po wodę pitną. Nasza polanka ma wszystko, ale wody, oprócz tej z rzeki, nie ma skąd brać. A ta, sami wiecie jaka - do użytku wewnętrznego się nie nadaje. I dlatego pływamy po czystą.

- Oczywiście - przeciągnął kapitan. - Gdzie znajduje się źródło?

- Tam - jego rozmówca wskazał na przeciwległy brzeg. – Stąd, około pięciuset metrów, a łodzią - półtora kilometra.

Widząc uniesione brwi Tajuszewa, Sajenko wziął kartkę papieru i zaczął rysować.

- Tu jest nasz biwak, tu rzeka. Dalej, ona tworzy zakole, wyginając się w lewo. Źródło znajduje się za zakolem, prawie przy brzegu. Półłukiem przedstawił łożysko rzeki i oznaczył krzyżykiem źródło. - Jeśli z naszego miejsca przepłynie się Doniec, to na drugim brzegu jest wąziutka ścieżka prosto do źródła. Szerokość rzeki sto metrów, jeszcze mniej więcej czterysta - przez las. Prawie w prostej linii.

- Dlaczego, wobec tego pływacie aż półtora kilometra?

- Bo to dużo łatwiej niż przeprować się na drugi brzeg, ciągnąć wiadra przez las, a potem płynąć z powrotem. Łódź znosi prąd, trzeba się natrudzić. A tu, siadasz, wiosłami pomachasz, załadujesz pełne wiadra i z powrotem – z prądem rzeki i można już odpoczywać. Wypróbowaliśmy oba warianty jeszcze kiedy pierwszy raz odpoczywaliśmy tu.

- A skąd macie łodzie? - Tajuszew popatrzył na dwie jednakowe, błękitne łajby, wyciągnięte na piasek. Różniły się tylko numerami napaćkanymi na drewnianych burtach białą farbą. Nad jedną, uwijały się muchy.

- Wypożyczyliśmy - wzruszył ramionami Sajenko – około trzech kilometrów stąd, z biegiem rzeki, jest baza wypoczynkowa. Tam wszystko można wypożyczyć – namioty, śpiwory i łodzie. Ale my mamy wszystko swoje, oprócz łodzi. Ech, po co ja Igorowi o tej bazie powiedziałem. Gdyby nie to, prawdopodobnie nie zatrzymaliby się tu na dłużej, nie

mając łodzi. A ja, dureń, język rozpuściłem, nie chciałem, żeby oni bez przerwy z naszej korzystali. Gdybym to wiedział...

- Czy znał się pan wcześniej z Igorem Łosiewym? Może gdzieś już spotkaliście się?

- Nigdy i nigdzie - ostro, prawie szorstko odpowiedział Sajenko. – Proszę wybaczyć, ciągle myślę o córeczce. Tylko tego jej jeszcze brakowało.

- A co z nią?

- Nic, wszystko w porządku, po prostu przeżywam z jej powodu. Tu nawet dorosły byłby zszokowany, to przecież mała dziewczynka, zaledwie dwunastoletnia.

- A jacy są przyjaciele Łosiewa?

- Kto ich tam wie - machnął ręką Stanisław. – Wiatr w głowach - jak to się mówi. - Ciągle przechwałki o własnej wartości, a jak jest w rzeczywistości - czort wie. Ale, najprawdopodobniej, średnia klasa komercji - kup-sprzedaj, wypij... - niespodziewanie zamilkł.

- No dobrze - widząc powracający kuter, Tajuszew podniósł się. - Póki nie ściemniało, proszę mi pokazać, gdzie jest ten źródło?

- Proszę bardzo - chętnie zgodził się Sajenko. - Można zrobić tak - niech kuter do niego płynie rzeką, a my, na naszej łodzi przepawimy się i przejdziemy przez las. W taki sposób sprawdzi pan za jednym zamachem dwie możliwości.

Ścieżka była rzeczywiście wąska, kapitan kroczył za barczystym Stanisławem Sajenko, patrząc pod nogi. Śladów tu było co niemiara – oto odcisk czyjejś bosej stopy na wilgotnej ziemi. Odcisk malutki, dziecięcy. Żeka? A tu złamane gałązki, ktoś wyraźnie oczyszczał drogę, żeby listowie nie chłostało po oczach.

- Dzieci często tu biegają - idąc komentował przewodnik. – Co prawda, Krystyna jest dość leniwą dziewczuchą, za to Romek i Żeka, to prawdziwe wodne dzieci. A miejsce jest bardzo piękne.

Miejsce było rzeczywiście piękne - źródło, okolony trawą, chował się w gęstych zaroślach. Gałęzie krzaków sięgały do samej wody. Gdzieś obok, zapamiętałe zanosił się śpiewem jakiś nieustraszony ptak. Widać było, że porastający mchem kamień służy jako miejsce dla siedzenia - na czubku głazu mech był przygnieciony. Ale dookoła - ani odrobiny śmieci, nawet małego papierka, tylko zieleń, przeszyta promieniami zachodzącego słońca.

- Rzeka jest tam – wskazał Sajenko.

Od źródła do brzegu było raptem piętnaście-dwadzieścia metrów. Wyjaśniło się, dlaczego nie rozbijano namiotów w tym miejscu – to nie plaża, a malutki piaszczysty skrawek, na którym nie bardzo jest jak się obrócić. Gęsty las szczerze podchodził do rzeki, tak, że dojść do tego miejsca można było tylko wzdłuż łożyska spływającego od źródła strumienia. A na brzegu... Kapitan aż zagwizdał. Podeszedł Sajenko i też stanął jak wmurowany, wpatrując się w zorany piasek. Wyglądało tak, jakby ktoś chaotycznie przeciągnął po nim grabiami, nawet gdzieś tam widniały wyrwane, więdnące trawki.

- Zacierano ślady - skonstatował Tajuszew i obejrzał się. Potem podeszedł do najbliższej olchy. Na pnium bielą świeże cięcia, czerwone z jednej strony. Zajęcie dla rzeczoznawcy. Prawdopodobnie, morderca, po podcięciu gardła Igorowi, tym samym nożem ścinał wielką olchową gałąź i nią dokładnie zniszczył wszystkie swoje ślady. Gałęzi nigdzie nie było. Na pewno, po prostu wrzucił do wody i ta odpłynęła.

Na rzece ukazał się kuter i kapitan zaczął machać ręką, pokazując, gdzie trzeba przycumować.

Aleksiej Kuźmienko, kolejny raz czekał cierpliwie, aż Ewa Łosiewa wypłacze się. Rozmawiać z krewnymi dopiero co zabitego człowieka zawsze ciężko, a do tego jeszcze, Łosiewa nawet nie próbowała się opanować. Tak, że rozmowa przedłużała się. Co prawda, te sprawy nie należą do zakresu działań prokuratury, ale ludzi mało, sam Tajuszew nie poradzi. A jutro, na przesłuchaniu, będą już przygotowani, przemyślą, co mówić, a co nie, schowają się w swoich skorupkach. Wydłubuj ich potem z nich... Nie, już lepiej iść gorącym śladem.

Wreszcie, Ewa osuszyła wilgotną chusteczką spuchnięte od łez oczy, wydmuchała w niego nos i rozejrzała się z zakłopotaniem.

- Proszę wybaczyć, ja nadal... nie mogę uwierzyć.

- Proszę powiedzieć - cierpliwie powtórzył Aleksiej Pietrowicz – czy mąż miał wrogów?

- Wrogów? - zaszlochała, ale, dzięki Bogu, nie zaczęła znowu szlochać. - Jakich wrogów? Nie, konkurenci, oczywiście, byli, ale to zupełnie co innego? Mogli przekręcić na pieniądze, podrzucić świnię, napuścić kontrolę podatkową, ale żeby tak - zarznąć... Nie wiem, ja już nic nie wiem. Ale wy go znajdziecie, prawda?

- Postaramy się - zapewnił Kuźmienko. - Tylko potrzebna nam pani pomoc. Proszę powiedzieć, o której mniej więcej Igor popłynął do źródłu?

- Ale, dlaczego mniej więcej? Akurat popatrzyłam na zegarek – była dokładnie trzynasta, kiedy łódź z brzegu spychał. Tuż przed tym, zjedliśmy obiad. On zawsze o tym samym czasie wypływał – taki charakter, wszystko według planu.

- A ile czasu mu zajmowała ta przejażdżka?

- No... - zamyśliła się. – Około dwóch godzin, może trochę mniej. Jeśli z powrotem wiosłował, to wracał szybciej, a jeśli po prostu siedział, to płynął powoli.

- To znaczy, że przy źródle był około godziny drugiej?

- Tak by wypadło - kiwnęła głową - tam zajęcia na pięć minut, i z powrotem.

- A kto w tym czasie był tutaj? - Kuźmienko spojrzał na dyktafon, taśma w kasecie kończyła się i trzeba było zdążyć na czas ją przełożyć.

- Krystynka czytała w namiocie, ma delikatną skórę i nie pozwalałam jej w największy upał przebywać na słońcu. Cyryl poszedł ze spinningiem wzdłuż brzegu łowić szczupaki, a Siergiej, kręcił się przy samochodzie. Chociaż...

- Więc kręcił się, czy nie?

- Nie wiem - znów pociągnęła nosem - położyłam się w cieniu, za namiotem, i zasnęłam. Obudziłam się, kiedy dziewczyna sąsiadów krzyczała.

- Tak - cierpliwie powtórzył Kuźmienko – kiedy pani się obudziła, to kogo zobaczyła z tych, którzy tu biwakują?

- Tego chłopaka, Romka, jak skoczył do wody i popłynął do łodzi. Nie wiedziałam o co chodzi, ale wstałam, żeby popatrzeć. Krysia wyrzała z namiotu, potem, z nad rzeki przybiegł Cyryl. A Siergiej... Tak, on też pojawił się, wybiegł z lasu. I mama Żeki też była, ale ona córeczkę natychmiast zabrała do namiotu. A jej męża nie było, on z samego rana gdzieś wyjechał.

Kuźmienko zaznaczył, że pomimo wstrząsu, kobieta przedstawia przebieg zdarzeń zupełnie zrozumiale.

Następny był wypieszczony, potężny mężczyzna, w jasnych spodniach i trykotowej koszuli z krótkimi rękawami. Na nosie miał przyciemnione okulary. Co prawda, podszedłszy do stolika, zdjął je. Przy lewym oku miał prawie zagojone zadrapanie

- Garbuz – przedstawił się, siadając naprzeciwko śledczego. - Cyryl Konstantynowicz. Wicedyrektor firmy optycznej „Promień”. Chciałbym wiedzieć...

- Ja tu zadaję pytania – powiedział Kuźmienko, leciutko poklepując dłońią po heblowanej desce.

- Proszę wybaczyć - zmieszał się Garbuz.

- Od dawna znał się pan z zamordowanym? - Aleksiej Pietrowicz znowu spojrzał na dyktafon.

- Od około pięciu lat. Tak, w sierpniu minie pięć lat. Zatrudniłem się u niego jako ekspedytor. Potem, dzięki swoim zdolnościom, zrobiłem karierę.

- Powiedział pan „u niego”?

- Tak, Igor jest naszym dyrektorem generalnym, a Siergiej - dyrektorem do spraw marketingu.

- O, sami dyrektorzy? – niespodziewanie, i nie na miejscu, roześmiał się Aleksiej Pietrowicz.

- Tak się składa - sucho odpowiedział Cyryl. - Razem pracujemy, razem odpoczywamy.

- Bardzo pozytywny przykład - Kuźmienko zrobił pauzę i, otworzywszy dyktafon, przełożył zapisaną kasetę. - Gdyby nie morderstwo. Cyrylu Konstantynowiczu, proszę powiedzieć – podejrzewa pan kogoś?

- Boże, kogo tu mogę podejrzewać? - pokręcił głową Garbuz. – Przecież to... w żadne ramy się nie mieści. Myślicie, że Igora mógł zabić któryś z nas? Czy jakiś killer? Proszę nie rozśmieszać. Myślałem nad tym. My z Sierożą jesteśmy z pracy zadowoleni, wynagrodzenie przyzwoite, tak, że żadnego istotnego powodu nie mamy. A killer... Oni mają inne metody, powinniście to wiedzieć.

- A wasi sąsiedzi? - Kuźmienko zajrzał do notesu. - Sajenkwie?

- Kto? Ach, ci. To w ogóle bez sensu - oni Igora po raz pierwszy tu zobaczyli. W końcu, to nie są jacyś maniacy. Tak myślę, że to barbarzyński, bezmyślny przypadek, jakiegoś przepływającego tędy bandyty albo obłąkanego. W waszych rejestrach tacy nie figurują?

- Nie figurują - pokręcił głową śledczy. - A gdzie pan był, kiedy to wszystko się wydarzyło?

- Ja? – wyraźnie zjeżył się Cyryl. - Po obiedzie postanowiłem zamoczyć błysk. Od początku nie miałem sukcesów w braniu - ani o świcie, ani wieczorem, dlatego postanowiłem spróbować w dzień. Wziąłem spinning i poszedłem wzdłuż brzegu.

- W prawo czy w lewo?

- W lewo. Doszedłem prawie do bazy wypoczynkowej i wróciłem. A tu nagle krzyk. Wtedy pobiegłem, co tchu.

- I dużo pan złowił?

- Znowu ani sztuki! – odpowiedział z rozdrażnieniem. – Nie warto było wywalać tyle kasy na japoński sprzęt, choćby tylko po to, by nie wychodzić na kompletnego durnia. Ta dziewczyna, Żeka, więcej nałowiła swoim patyczkiem.

- A co się stało z pana okiem? – jakby od niechcienia, zainteresował się Aleksiej Pietrowicz.

Siedzący naprzeciwko mężczyzna zmarszczył się, pomacał palcem długi, brązowy strup i niechętnie odpowiedział:

- Damskie pazurki. Przyjechaliśmy tu z małżonką, jest o mnie zazdrosna, jak kotka. I tak samo drapiąca. Coś jej się przywidziało, zrobiła awanturę, a potem, w ogóle do domu pognęła. Od dawna zamierzam się rozwieść, a teraz podjąłem ostateczną decyzję – po cholere mi taka histeryczka! Tylko wstyd przed kolegami.

- No, to dziękuję za rozmowę, Cyrylu Konstantinowiczu - westchnął Kuźmienko. Tak. Proszę zawołać waszego przyjaciela, jeśli nie sprawi to kłopotu.

- Dobrze - ponuro burknął Garbuz i szybko się oddalił.

- Siergiej Pietrowicz Wasilewski - przedstawił się wysoki, chorobliwie chudy i blady mężczyzna. Wyglądał znacznie starzej od Cyryla, któremu minęło trzydzieści pięć, a Wasilewski nie dociągnął jeszcze do pięćdziesiątki. Postarzały go wysokie zatoki w ciemnych włosach i prawie czarne kręgi pod oczyma. - Dowód potrzebny?

- Wskazany.

Wasilewski położył na stół dokument i usiadł jakoś niezręcznie, bokiem.

- Od dawna znacie się z zabitym? - kartkując dowód, zapytał Kuźmienko.

- Od ośmiu lat - obojętnie zakomunikował Siergiej. – Wspólnie zaczęliśmy rozkręcać biznes. Razem także... - wzruszył ramionami. - Ogólnie, wszystko.

- Prowadziliście wspólny biznes?

- Tak, początkowo byliśmy partnerami, potem zacząłem mieć problemy ze zdrowiem, wątroba nawaliła. Stopniowo, Igor przejął całość. Mógł mnie w ogóle z wozu zrzucić, ale pożałował. Teraz, już wróciłem do zdrowia tak, że wszystko w porządku. Ale za to, co dla mnie zrobił, jestem wdzięczny. Żal chłopca.

Kuźmienko zauważył, że jego rozmówca jakby wybiega do przodu, starając się pośrednio dać do zrozumienia, że nie miał żadnych powodów, by nienawidzić Łosiewa. Bardzo przezornie.

- Proszę mi powiedzieć, o co Cyryl Garbuz pokłócił się z żoną? - zapytał jakby od niechcena.

- Ostatnim razem? - podkreślając słowo „ostatnim”, zapytał Wasilewski. – Przecież ta Nastia... Ona, o swego ślubnego, była zazdrosna nawet wobec słupa ulicznego. Jak tylko co, to już się rzucała. Krzyk, pisk... Nie lubię czegoś takiego. Rozwiodłem się dwadzieścia lat temu i nie żałuję. Bab, na mój wiek, wystarczy tak, że poświęcanie wolności nie ma sensu.

- A tym razem o kogo poszło?

- Wie pan – po zastanowieniu powiedział Siergiej – sam nawet nie bardzo wiem o kogo. Ona nam wszystkim ze swoimi histeriami już dawno obrzydła. Ale tu, wybór był raczej niewielki, prawda? Może chodziło o Ewę albo o sąsiadkę z obozowiska. Chyba Irena ma na imię. Tak, na pewno Irena. Interesująca blondynka, szczerze mówiąc. Skłaniałbym się do ostatniego wariantu, ponieważ Ewka Cyrylowi raczej nie wpadła w oko, bo mu się podobają zgrabne kobiety.

- No, a powód był? – zainteresował się Kuźmienko.

- Wie pan, przyjechałem tu odpoczywać, a nie cudzymi amatorami się zajmować - obruszył się Siergiej. – W sumie, takie rzeczy mnie nie interesują.

- Proszę powiedzieć, panie Wasilewski, gdzie pan był od godziny trzynastej do momentu, gdy odkryto ciało Igora Łosiewa?

- Po obiedzie? Samochód mi szwankował, coś z gaźnikiem. Postanowiłem popatrzeć, co i jak. Rozebrałem, złożyłem... Ogólnie, kręciłem się koło auta.

- Ale przecież nie było pana koło samochodu, gdy znaleziono trupa? Dlaczego wyszedł pan z lasu?

- A uważa pan, że potrzebę powinienem załatwiać na oczach wszystkich? – uśmiechnął się krzywo. - Dwa razy chodziłem do lasu. Przy okazji, trzy kozaki znalazłem. Może pan sprawdzić, ponieważ są koło mojego „rumaka”. Już chciałem wziąć jakąś torbę i nóż, żeby urządzić polowanie na grzybki, a tu...

- A propos noży - podchwycił Kuźmienko. - Ile ich było?

- U mnie? Jeden - wyjął z kieszeni wielki, składany nóż w skórzanym pokrowcu. - Zdążyłem wyjąć go z samochodu.

- A u innych?

- Trudno powiedzieć... Kuchenny nóż Ewy, a Cyryl ma taką stylową rzecz, coś w rodzaju sztyletu, ale ostrze szersze. Igor miał taki... szczerbaty. W nożach źle się orientuję, ale ten dobrze zapamiętałem. Igor bardzo go cenił i zawsze nosił ze sobą.

- Dziękuję, znajdziemy je.

Śledczy zamyślił się. Rzecznawca mówił – że gardło Łosiewa nie zostało zwyczajnie poderżnięte, a dosłownie rozplątane. I żadnego noża przy nim nie znaleziono. Tak, że zupełnie możliwe, że zabito go jego własnym nożem. Ale, sprawdzić nie zaszkodzi.

Buczenie silnika oznajmiło, że do przystani wracał kuter. Przyplłynął nim Tajuszew, a rzeczoznawca, razem z Sajenko, wracali przez las. Sądząc po tym, że na przeciwległym brzegu, przy łodzi, jeszcze ich nie było, ślady na ścieżce zainteresowały rzeczoznawcę.

Słońce już prawie zniknęło za lasem, więc trzeba było się śpieszyć.

Żeka z ciekawością przyglądała się milicjantom. Strach prawie znikł i ona nawet nieśmiałym uśmiechem odpowiedziała na powitanie Tajuszewa. Dziewczynka była urocza - szczuplutka, jak ważka, ze stertą kasztanowych kędziorów. Białe szorty i podkoszulek kontrastowały z opalenizną, która wydawała się znacznie ciemniejsza w zapadającym zmierzchu.

- No co, młoda lady, przestraszyłaś się? - zapytał kapitan.

- Tak - odpowiedziała bez emocji. - Łowiłam ryby z drzewa. Początkowo pomyślałam, że wuj Igor zasnął. Czasami, w powrotnej drodze kładł się i opalał...

W odróżnieniu od pulchnej, flegmatycznej Krystyny, z której śledczy nie mógł wycisnąć nawet dwóch sensownych zdań, Żeka opowiadała wszystko ze szczegółami i z sensem. I po co ojciec i brat tak niepokoją się o nią? Dziewczyna szybko zapomni o przeżytych koszmarze, dziecięca psychika wytrzymuje gorsze rzeczy.

„Wyrośnie z niej ślicznotka - pomyślał Kuźmienko, przyglądając się małemu świadkowi. – Kiedyś może rodzicom przysporzyć trosk”.

- Tak, często pływamy na tamten brzeg. Co to dziwnego? - w odpowiedź na pytanie Tajuszewa Żeka uśmiechnęła się pobłażliwie. - Na basenie, w jednym treningu trzeba co najmniej kilometr wymachać.

- A potem do źródła?

- Nie zawsze - zamyśliła się. – Najwyżej raz albo dwa dziennie. Pięknie tam, jak w filmie o rusałkach.

- I siedzisz tam na kamieniu? Jak rusałka?

- Aha - ufnie potwierdziła dziewczynka. – Tam, na dnie, takie żuczki żyją. Woda zimna, a one żyją.

Stojąca nieopodal Irena uśmiechnęła się mimo woli. Niepokój o córkę stopniowo zniknął, Żeka była spokojna i prawie beztraska. Być może lekarz miał rację, mówiąc, że stopniowo wszystko minie, ale lekarstwo na noc, obowiązkowo trzeba będzie dać.

Najgorsze, że nie wolno wyjechać - śledczy prosił, by nikt nie opuszczał obozowiska, póki on nie pozwoli. I wszystkie noże odebrali. Został najmniejszy, ten, którym córeczka tnie żyłki do swojej wędkii. Takim, trudno prawdziwy obiad przygotować. Ale - jakoś poradzą.

Kuter odplynął, kiedy zupełnie ściemniało. Na opustoszałym brzegu paliły się dwa ogniska. Przy jednym, objąwszy rękoma kolana i wtuliwszy w nie twarz, siedziała Ewa. Krystyna już spała w namiocie, napojona walerianą. Cyryl i Siergiej snuli się po polanie, to przysiadając obok kobiety i coś jej tłumacząc, to znów odchodzili w ciemność.

Drugie ognisko szybko zgasło, a wkrótce także światło w granatowym namiocie. Nastąpiła cisza. Nikt nie włączał magnetofonu, nie gotował nałapanych przez dzień w plecioną pułapkę raków, nie rozlewał w plastikowe szklaneczki wódki. Nawet na herbatę nikt nie miał ochoty.

Zasypiając, Roman pomyślał, że wypadłoby wstać wcześniej i obmyć z krwi łódź sąsiadów. Oni sami boją się do niej podejść. Obok cichutko posapywała Żeka, nie rzucając się, nie krzycząc ze strachu. Po prostu - spała.

Następny dzień nie był najłatwiejszy, jeździły jeszcze raz składać zeznania, podpisywały protokoły, męczyły się w nieprzytulnym, urzędowym korytarzu. Ewa wyglądała okropnie, jakby się postarzała najmniej o piętnaście lat. W końcu, Irena zaprowadziła ją do kawiarni w pobliżu komisariatu i tam zmusiła do wypicia dwóch kieliszków koniaku. Dopiero po tym kobieta jakoś się odprężyła i nawet zaczęła ziewać - całą noc jednak przesiedziała koło wygasłego ogniska.

Potem ich zawołał Stanisław – czas wracać do obozowiska.

- No i co, Wadimie? - zapytał Kuźmienko Tajuszewa, kiedy ten, zmęczony i opuchnięty z powodu bolącego zęba, wpadł wieczorem do jego gabinetu. - Mamy coś? O rany, ale z ciebie przystojniak... Boli?

- Posłuchaj, Piotrowiczu - kapitan usiadł przy stole i skrzywił się, dając do zrozumienia, że boli – sprawa wygląda beznadziejnie. Chociaż, w sumie...

- No, to opowiadaj, po kolei.

- Po pierwsze - Garbuz. Śliska osobowość. Ale, zabijać Łosiewa raczej nie miał powodu. On teraz, w tym „Promieniu” jak pączek w maśle się pławi. Kupił nowy samochód, załatwił kredyt na kupno mieszkania. Gdyby nawet kręcił z żoną szefa, to już na pewno nie zarzynałby kury znoszącej złote jajka.

- A fakty?

- Chłopaki jeździli z jego fotografią do bazy wypoczynkowej. Dwie kobiety go rozpoznały. Widziały go tam około godziny czternastej, na poobiednim spacerze. Włókł się brzegiem, zarzucając spinning. On ich nie widział, ale one dobrze mu się przyjrzały. Ma alibi?

- Ma - westchnął Kuźmienko. – Nawet, gdyby ruszył stamtąd biegiem, przepłynął rzeczkę, dobiegł do źródła, zabił Łosiewa, a potem, tym samym sposobem wrócił... Nie, nie uwinąłby się. A gdyby przepłynął Doniec koło obozowiska?

- Wtedy, bezsprzecznie zauważyłaby go Żeka. Ona tam, w tym czasie łowiła ryby.

- Czyli, nie on... A Wasilewski?

- Ten też odpada. Podesłano mi faksem historię jego choroby. Konsultowałem się z naszymi medykami. Zdechłak z tego naszego Siergieja, chociaż udaje chojraka. Nie tak dawno miał operację, którą, nawiasem mówiąc, „Promień” mu opłacił. Ale nie to najważniejsze. On, fizycznie nie byłby zdolny wykonać kros przez las, potem przepłynąć rzekę, rozprawić się z Łosiewem i wrócić jakby nigdy nic... Chyba jesteś w kursie dzieła, bo myślę, że czytałeś, co napisał ekspert sądowy?

- Czytałem. Ofiara została ogłuszona uderzeniem w głowę, a gardło podcięto potem. I ani jeden z tych noży, co skonfiskowaliśmy, nie pasuje. A nóż Łosiewa, zniknął. Jeśli nawet znajdziemy go przy pomocy nurków, co to da?

- Myślę, że nic. Jakże tam mogą pozostać ślady? - Tajuszew westchnął z rezygnacją i pogładził policzek.

Kuźmienko wstał, wyjął z sejfu na pół opróżnioną butelkę wódki i nalał do szklaneczki, która stała na stole koło karafki z wodą.

- Jesteś wspaniałym człowiekiem, Piotrowiczu! - kapitan jednym haustem wypił zawartość, czknął i kontynuował:

- Więc, lekarze zgodnie twierdzą, że Wasilewski, po takim maratonie, nie tylko z silnym mężczyzną, ale i ze sobą by nie poradził. A musimy jeszcze pamiętać, że morderca zawłókł ogłuszonego Łosiewa do łodzi, bo gardło mu poderznął już tam. Po takim wyczynie, Siergiejowi po prostu szwy by się rozlały. Ale nawet to nie jest najważniejsze. Na podstawie mapy obliczyłem, ile musiałby przebiec i przepłynąć do źródła wzdłuż rzeki, a potem jeszcze wrócić. Innej przeprawy nie ma - albo z miejsca, gdzie dziewczynka łowiła rybę, albo biec po wielkim łuku - a to prawie dwa kilometry, biorąc pod uwagę, że nie wszędzie można przejść brzegiem. Plus, przepłynięcie rzeki. A Roman Sajenko twierdzi, że około wpół do drugiej Wasilewski przyszedł do niego z pytaniem, czy nie mają klucza nastawnego. Tak, że dotrzeć do źródła i zaskoczyć tam Łosiewa, nasz statysta nie miał żadnych szans. Musiałby być olimpijskim mistrzem w pięcioboju, a nie rekonwalescentem ze szwami pooperacyjnymi. A, że szwy ma, sam widziałem.

- A Sajenko-starszy? - śledczy wytarł chusteczką spoconą łysinę - pomimo wieczoru, w gabinecie było duszno.

- Znaczący tak. Alibi Stanisława Sajenko potwierdził niejaki Eugeniusz Sierych, inżynier firmy, do której ten udał się rano. I w restauracji kelnerka potwierdziła, że Sajenko i Sierych przesiedzieli tam ponad dwie godziny, cały czas przeglądali jakieś papiery, nawet dwa razy składali zamówienie. Szczególnie dobrze zapamiętała Sajenkę - wesoly taki i sute napiwki dawał. Potem, ktoś zadzwonił i on natychmiast odjechał - dobrze po piętnastej.

- A gdyby nie alibi? Zdążyłby przez te dwie godziny dotrzeć do źródła?

- Zdążyłby. Sprawdziliśmy. Z miasta, do brzegu naprzeciwko źródła bliżej, niż do obozowiska, po lesie kluczyć nie trzeba. Gdyby koło trzynastej wyjechał samochodem, to mógłby szosą, a potem krótką drogą polną trafić tam po piętnastu minutach. Przepłynąć przez Doniec, dla takiego chłopca, jak splunąć. Ale on cały ten czas spędził w restauracji - z Sierychem, i pod okiem kelnerki. Nie układa nam się ten pasjans. I z

motywami – nie najlepiej. Gdyby nawet Łosiew próbował do jego żony się zalecać, to, czy za takie coś trzeba zaraz gardło podrzynać?. A po drugie, Irena Sajenko przyznała się, że podrywał ją nie Igor Łosiew, a Cyryl Garbuz. Ale Nastia, jego żona, zauważyła to natychmiast i mordę swojemu ślubnemu podrapała. Więcej się do niej nie przystawiał, tylko ze spinningiem biegał wzdłuż brzegu i nosem kręcił. A przecież jego, za coś takiego, nie zamordowano.

- No, tak... - Kuźmienko pomyślał i nalał kapitanowi jeszcze pół szklanki. – Może byś jednak poszedł do dentysty, co?

- Pójdę, bo już nie mam siły cierpieć. Pamiętasz Gejmana? Umówiłem się na wizytę - obiecał usunąć. Przy okazji sprawdzę, kłamał czy nie, że jest stomatologiem. Wracając do sprawy. Kto tam jeszcze nam został? Dziewczęta odrzucamy, tam nie narodziło się dziecko. I nie kobieta. Tym bardziej, że Ewa Łosiewa spała w zasięgu wzroku opalającego się Romana Sajenko. A Irena była w namiocie, czytała, słuchała radia. Z nią rozmawiał Wasilewski, kiedy o wpół do drugiej przychodził pożyczyć klucz. Wymknąć się niepostrzeżenie, nie mogła. A też i po co miałyby zabijać praktycznie nieznanego człowieka? Nie, dziewczynki i kobiety nie mają z tym nic wspólnego.

- Masz rację - potwierdził Aleksiej Piotrowicz. - Pozostaje Roman Sajenko.

- Tak, Roman. Silny chłopak, po pierwszym roku studiów, sportowiec, nie pali, nie pije. Świetna kandydatura. I nawet to, że on cały czas opalał się przy namiocie... No, albo prawie cały czas. Mógł po rozmowie z Wasilewskim przepłynąć rzekę, dobiec do źródła, ogłuszyć Łosiewa, ułożyć w łodzi, poderżnąć mu gardło, a potem odepchnąć łódź od brzegu i tym samym sposobem wrócić? Pod warunkiem, że Żeka zgodziłaby się nikomu o tym nie mówić?

- No, mógł – po namyśle zgodził się śledczy.

- A jednak, nie – odciął się Tajuszew. - Dokładniej, mógł wszystko, oprócz ostatniego. Wiedział, że nieboszczyka, w łodzi, pierwsza zobaczy jego siostra. A dziewczynka... Zakrzętnąłem się przy tym i poprosiłem o przysłanie z Doniecka wypisu z historii jej choroby. Szczerze mówiąc, nawet nie choroby, po prostu, dziecko w ciągu ostatnich ośmiu lat jest pod nadzorem neuropatologa - męczą ją nocne koszmary i duszności, czasami dochodzi nawet do drgawek. Okazuje się, że ją coś przestraszyło we wczesnym dzieciństwie i teraz rodzice i brat ze wszystkich sił starają się, by unikała jakichkolwiek wstrząsów. Tak, że Roman albo zostawiłby Łosiewa z poderżniętym gardłem na brzegu przy źródle, albo zaprowadziłby dziewczynkę do namiotu. A nie zaprowadził, jak widzisz.

- Tak, zagmatwana sprawa - smutno zgodził się Kuźmienko. - Motywów nie ma, podejrzanych kupa, a faktycznie... Ale, popracuj jeszcze, Wadiku. Może, coś znajdziesz.

- Popracuję, bo co innego mogę zrobić - pokiwał głową Tajuszew. – Pojadę do Charkowa, z pracownikami tego „Promienia” poplotkuje, z kolegami z zarządu... A chłopaki jeszcze raz sprawdzą tych, którzy mogli się w tym czasie w pobliżu wałęsać. Chociaż, o takich nic nie wiadomo. No, Piotrowiczu, czas na mnie... Do inkwizytora.

Przy tych słowach, wlał w siebie ciepłą wódkę, machnął ręką i udał się na usuwanie zęba.

Rok później.

Dwóch mężczyzn siedziało w niedużej, przytulnej sali. Na ścianach – białe ręczniki, haftowane w czerwone koguciki, na parapetach, w wielkich, ozdobnych donicach - wspaniałe begonie i pelargonie. Stoliki oddziały od siebie najprawdziwsze pergole, po

których wił się plastikowy powój i sterczały główki słoneczników - też plastikowych, ale jaskrawych i wesołych.

- No, jak tam moja imienniczka? - zapytał wysoki, rudowłosy mężczyzna, podnosząc widelcem zarumienione ciasto, nakrywające garnek zamiast pokrywki. Z pod ciasta buchnął kłęb pary i zapachniało skwarkami.

- Wiesz, Żeńka, trudno w to nawet uwierzyć. Tfu-tfu-tfu - Stanisław Sajenko postukał po blacie i splunął przez ramię. – Czasami, z przyzwyczajenia, obudzę się nocą i biegnę popatrzeć, jak Żeka śpi. Na szczęście, buzia spokojna, dłoń pod policzkiem, książka i kołdra - na podłodze. A przecież, nadal czasami mi się śni, że ona znowu krzyczy...

- Ech, szkoda, że obaj kierujemy - rudy wydobyl z garnuszka wielki pieróg, obejrzał go podejrzliwie i posłał do ust - a to, wypilibyśmy teraz za zdrowie twojej ślicznotki.

- I za spokój duszy Łosia - dłubiąc widelcem w talerzu z górką posypanych koprem pierożków z mięsem, szeptem dodał Stanisław.

- Za niego - obejdzie się - półgłosem odpowiedział Eugeniusz Sierych. - A za spokój duszy Miśka i Lali - to jesienią, jak zawsze.

Po godzinie, omówiwszy wiele i jeszcze więcej przemilczając, wyszli z restauracji. Stanisław odprowadzał spojrzeniem oddalający się samochód przyjaciela.

„Ech, Żeńka, Żeńka, a przecież ty wtedy, natychmiast, jak tylko powiedziałem ci o krzyżu Miszki, postanowiłeś rozgnieść tę gadzinę... Chociaż mówiłeś, że tylko spotkasz się z nim, by spojrzeć mu w oczy. I ja, z pewnością domyślałem się, kiedy szczegółowo opowiadałem ci o zdroju i o nawykach Łosia. Potem, kiedy siedzieliśmy przy stoliku w kacie i czarnooka Maryna zalotnie uśmiechała się do mnie, powiedziałaś, że wrócisz najdalej za pół godziny. A zniknęłaś prawie na godzinę. Maryna nie zauważyła twojej nieobecności, biegła z tacą. Potem, co prawda, zapytała, gdzie zniknęłaś i trzeba było kłamać, że wyszedłeś do toalety. A ty wróciłeś, wesoły, prawie szczęśliwy. Zamówiłeś jeszcze porcję swoich ulubionych pierogów z ziemniakami i skwarkami. Kiedy zadzwonił Romek, nie zdziwiłem się. Jedyne, co w tym było strasznego - Żeka. Nie wiedziałeś, że martwego Łosia pierwsza może zobaczyć córka Miszki”.

Podszedł do swego samochodu, wsiadł, zostawiając otwarte przednie drzwi, by chociaż trochę wydmuchało gorące, zastałe powietrze.

Przed oczyma przewijała się przeszłość.

Ta zatechła i deszczowa listopadowa noc, kiedy Żeńka zadzwonił i zakomunikował, że Misia i Lalę zamordowano. Potworna ze wszech miar przejażdżka do Dniepropietrowska starym, ojcowskim „Moskwiczem”, uciekające w bok spojrzenia milicjantów: „Szukamy!” Szepty na ulicy: „Łoś, to Łoś!” I bezsilność, by coś zaradzić i udowodnić - Łoś zapewnił sobie żelazne alibi: Troje jego przyjaciół potwierdziło, że tej nocy pił z nimi, a nie strzelał z obrzynka w twarz Misia i brzuch Lali. Wtedy, jednak nie spotkał Łosia, Żeńka powiedział, że początkowo ten przeczekiwał w mieszkaniu teściowej, a potem w ogóle wyjechał z miasta. Śledczy, tylko rozkładali ręce.

Miś miał zwykły pogrzeb, nie cygański - z płaczem gitary i obietnicą odnalezienia morderców i zemśczenia się. Nie miał kto go mścić. Rodzice Miszki dawno opuścili tabor, żyli, jak wszyscy i umarli parę lat temu. Także nie było żadnego cygańskiego złota, po które przyszedł ciemną, listopadową nocą Łoś. Był tylko krzyż, Miszki, złoty, do zawieszenia na szyję, z ciemnogrnatowymi szafirami, z powodu którego w akademiku politechniki oni z Żeńką czasami trochę się naśmiewali, nazywając go „baronowskim”. I to była cała zdobycz Łosia tej nocy.

Stanisław zobaczył ten krzyż na piersi Igora. Tam, na brzegu Dońca.

To sprawiło, że pociemniało w oczach. Tym bardziej, że obok, na powalonym drzewie siedziała nad rzeką dziewczynka z wędką.

Żeka, córeczka Misia i Lali, która uratowała się, chowając pod łóżko w sypialni, kiedy Łoś mordował jej rodziców i jeszcze nie narodzonego brata. Mała dziewczynka, którą on wywoził z Dniepropietrowska i która z okna samochodu oglądała całą drogę ogromnymi oczyma Lali i pytała: „Jedziemy do taty i mamy?” A potem - lata nocnych koszmarów, trzęsące się dziecięce ciało, krzyk „nie trzeba!!!”, uspokajające opinie lekarzy.

Wszystko to minęło.

Nie uśpiło się, po prostu - minęło.

Przekład: Tadeusz Rubnikowicz